GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Równocześnie złożono w gubernium lwowskiem „do akt“, więc do kosza, szlachetnem oburzeniem podyktowane przedstawienie jednego z urzędników Złoczowskiego cyrkułu (Schumana), który z narażeniem się, jeżeli nie na obwinienie o udział w spiskowaniu, przed czem zasłaniało go niemieckie nazwisko, to co najmniej na zarzut arogancji, wprost do prezydjum gubernialnego wniósł przedstawienie, że chłopom należy odebrać kosy dla zapobieżenia niechybnym nadużyciom. Byłby ten uczciwy urzędnik dobrze popamiętał swój śmiały krok, a jego pismo z pewnością nie było-by poszło do kosza, lecz do rąk surowej komisji dyscyplinarnej, gdyby przezydjum gubernialne nie lękało się było nadania sprawie rozgłosu, gdyby było tak pewnem siebie, jak się to ze stanowczości jego rozporządzeń wydawać mogło. Ale w otoczeniu br. Kriega uczuwano już wtedy potrzebę pomijania milczeniem takich głosów przestrogi, aby się na wszelki wypadek zasłonić przed Wiedniem, dokąd zaczynały skądinąd dochodzić wieści o rzezi niezgodne z lwowskiemi relacjami o niebezpieczeństwie grożącem Austrji i o patrjotycznych chłopach, odpierających ataki powstania w stanie obrony koniecznej. Musiały te wieści pochodzić od poważnych osób, skoro kanclerz, hr. Inzaghi, wydał 26. lutego 1846 roku, drogą niezwykłą, bo bezpośrednio bez poprzedniego porozumienia się z gubernium lwowskiem, polecenie do pięciu starostów (w Wadowicach, Bochni, Tarnowie, Rzeszowie i Przemyślu), aby koniecznie starali się przywrócić uspokojenie między rozbestwionem chłopstwem. Gubernium otrzymało dopiero później zawiadomienie o tym kroku centralnej władzy rządowej i nic ze swojej strony nie zarządziło. Dalszem pismem (z 2. marca) zawiadomił kanclerz, hr. Inzaghi, gubernium, że z Wiednia zjedzie na widownię krwawych wypadków radca kancelarji nadwornej, Wacław Zaleski.

Oba te niezwykłe w szablonie biurokratycznym, bo samodzielne i bezpośrednie dyspozycje władzy centralnej, świadczą o tem, że w Wiedniu uczuwano w danej chwili brak pewnej informacji urzędowej o stanie rzeczy w Galicji, a natomiast za wpływem wiadomości, skądinąd otrzymanych, budzić się zaczęła nieufność wobec podwładnego gubernium. To też gubernium to czyniło ze swojej strony wszystko, co było możliwe, aby do Wiednia nie docierały z polskiej strony autentyczne opisy rzezi, dopóki ostateczny rezultat ryzykownej akcji, to jest zupełne uchylenie przesadnie opisanego niebezpieczeństwa dla rządu przez doszczętne wytępienie i pojmanie żywiołów ruchu, nie pozwoli pokryć wszystkich bezprawi fikcją krwawego zwycięstwa w krwawej walce i rozgrzeszyć wszystkich wojenną formułką absolucyjną: *comme à la guerre!*

To też wprost nie puszczano w tych czasach do Wiednia nikogo, kto podejrzany był o zamiar wniesienia skargi do tronu, lub przynajmniej do władzy centralnej. Takim podejrzanym osobom odmawiano paszportu, bez którego wyjazd do Wiednia był niemożliwy. Wdowie po jednej z pierwszych ofiar rzezi, po Karolu Kotarskim, nawet Agenor hr. Gołuchowski, ówczesny radca gubernialny, nie zdołał wyjednać takiego paszportu u br. Kriega. Było w tem dobre wyrachowanie bo samo pojawienie

się Kotarskiej w Wiedniu mogło było pomieszać szyki matadorom gubernialnym, którzy umieli nietylko w relacjach do władzy centralnej zamglić prawdziwy stan rzeczy, lecz nadto wprowadzili w błąd zagranicę przy pomocy usłużnych piór biurokratyczno-dziennikarskich. Z pod tych piór wychodziły drukowane w augsburgskiej „Allgemeine Zeitung", głównem źródle informacyjnem dla całej prasy niemieckiej, korespondencje galicyjskie, fałszujące nawet notoryczne szczegóły w sposób bezczelny, a jednak na razie wielce skutecznie. Dziennik ten bowiem posiadał wtedy powagę europejską, więc oczywiście wpływał znacznie na opinię europejską.

Nie braknie wskazówek autentycznych, z których wypływa, że w Wiedniu nie miano do ostatniej chwili wyrobionego trafnego wyobrażenia o postępywaniu władz galicyjskich, lecz dopiero z luźnych faktów i szczegółów wysnuwano wnioski, nieufność zdradzające. I tak naprzykład, kiedy właściciel dóbr w Lwowskim cyrkule położonych, Józef Ubysz, wniósł w pierwszej chwili zamętu do kancelarji nadwornej w Wiedniu skargę na starostę Milbachera z powodu ubliżającego dla szlachty tonu jego pism urzędowych, kancelarja ta przesłała skargę prezydjum gubernialnemu z poleceniem, „aby zawiadomiono starostę, że jego postępowanie sprawiło zdziwienie". Dla prezydjum gubernialnego jednak, wysoko ceniącego Milbachera, nie było w tem żadnego powodu nawet do zdziwienia, gdyż, nie troszcząc się o polecenie przełożonej władzy, złożono jej reskrypt do aktów, więc do kosza. Albo weźmy drugi przykład. Po zmasakrowaniu oddziału powstańczego pod Gdowem przez pułkownika Benedeka na czele czerni chłopskiej, polecono z Wiednia, oczywiście na wniosek ze Lwowa przedstawiony, zarządowi Bocheńskiej kopalni soli, aby zwycięzkich chłopów wynagrodzono bezpłatnem rozdaniem soli, jako zadatkiem na późniejsze, z góry umówione wynagrodzenie pieniężne. Cóż dziwnego, że ówczesny służbisty kierownik tego zarządu, Wacław Franciszek Tegetthoff, bawiąc wkrótce potem w Wiedniu, na własną rękę rozpisał subskrypcję pieniężną na rzecz „dzielnych chłopów galicyjskich", i zamierzał wynik jej ogłosić w dziennikach wiedeńskich. Tymczasem prezydent najwyższej władzy policyjnej (hr. Sedlnitzky) pewnie nie bez ważnego powodu, uznał ów zamiar Tegetthoffa za „niedopuszczalny z wielu względów", i kazał prezydjum gubernialnemu we Lwowie tak samo postąpić co do tamtejszych dzienników.

Mając jednak po swej stronie sukces, w swojem wyobrażeniu dla państwa i rządu bardzo ważny, chociaż okupiony niepotrzebnie strumieniem krwi i stekiem najdzikszych wybryków podbechtanej czerni chłopskiej, prezydjum gubernialne we Lwowie nie trwożyło się objawami refleksji w kołach wiedeńskich, i już nawet po wyjściu na jaw wszystkich tych wybryków, po stłumieniu wszystkich ruchów powstańczych, trwając w zaciekłości swojej, czy nie mogąc powstrzymać się na pochyłej drodze, nietylko nie wystąpiło z silną represją przeciw ponawianiu się tych wybryków, lecz nawet ignorowało po prostu błagalne głosy najpoważniejszych obywateli w kraju o wysłanie asystencji wojskowej z powodu groźnej postawy chłopstwa. Taki naprzykład głos Leona ks. Sapiehy z Krasiczyna zakomunikowano chłodno staroście w Przemyślu (w kwietniu 1846 roku), „pozostawiając mu uwzględnienie prośby według możności", co znaczy, że wszystko pozostawiono jego dobrej woli. Starosta ten, mając w swych ręku dyskrecjonalną władzę, zrobił z niej użytek, godny historycznego upamiętnienia. Wydał bowiem rozporządzenie, że szlachcie, napływającej z całego cyrkułu do Przemyśla pod osłonę władzy, przebywanie w tem mieście nie będzie dozwolone. Prezydjum gubernialne przyjęło to zarządzenie „do wiadomości", nie troszcząc się oczywiście dalej o losy szlachty. Jaką była jej dola ówczesna, to jeden z żyjących jeszcze świadków ówczesnych (Edward Micewski z Tuczemp) z własnej inicjatywy przedstawił piszącemu w liście prywatnym, który tak opiewa: „Pamiętam doskonale rok 1846. Urzędy bardzo obojętnie patrzyły na popełnione zbrodnie i tolerowały wszystko. Jednakże gdy wreszcie polecono stłumić w Jasielskiem i Sanockiem rozhukane, szalone chłopstwo, starosta przemyski wysłał komisarza, Neussera, z rozkazem poskromienia buntu. Ten nie rozumiał żartów, postępował z całą energią, i po niejakim czasie zapanował spokój. Gdy zdał o tem raport staroście, ten tak się wyraził: Spodziewałem się, że Pan dłużej pozostawisz szlachtę w opałach; coś Pan uczynił, to idzie na pańską odpowiedzialność. Te słowa z ust samego Neussera słyszałem; podaję je, jako ciekawy szczegół owej epoki. Gdy się zdawało, że nieszczęsna rabacja (tak nazywano ówczesną hajdamaczyznę) zbliża się ku Jarosławiu, w którego pobliżu, mając majątek ziemski, mieszkaliśmy, ojciec mój i ja z nim wyjechaliśmy dla schronienia się do Przemyśla. Starosta jednak kazał nam natychmiast opuścić miasto, i tylko za wstawieniem się komisarza Neussera zezwolił nam pozostać jednakże pod warunkiem, żebyśmy nie wychodzili z domu i nie pokazywali się w mieście, aż chyba późnym wieczorem".

Historyczny dekorator działalności biurokracji austrjacko-galicyjskiej z roku 1846, br. Sala, zaćmiwszy — bardzo zresztą oględnie i delikatnie — tę aureolę patrjotycznego bohaterstwa, jaką Breinla opromienili pamfleciści niemieccy, *à la* Sacher-Masoch, mniemał, że, dawszy w ten sposób dowód bezstronności, może tem śmielej odeprzeć i nawet oszczerstwem nazwać podniesione z polskiej strony zarzuty, iż niektórzy urzędnicy cyrkularni nietylko biurową swoją dzia-

łalnością przyczynili się do katastrofy, lecz nawet bezpośrednio udziałem swoim dodawali animuszu bandom hajdamackim. I tutaj znowu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy poznanie aktu urzędowego, więc dokumentu autentycznego, który nietylko w innem świetle stawia owe wrzekome oszczerstwa polskie, lecz nadto rzuca fatalny cień na prawdomowność br. Sali.

Dokument ten tyczy się młodego urzędnika cyrkularnego, Vitzthuma, który w roku 1846 stał się głośnym w cyrkule Bocheńskim, głośnym z tego, że opinia posądzała go wprost o uczestnictwo w wyprawach chłopskich na dwory szlacheckie, w masce, do okoliczności i sytuacji zastosowanej, bo w ubraniu chłopskiem. Ten Vitzthum ściągnął na siebie w swoim czasie wiele oskarżeń, wniesionych do przełożonej władzy, ale, mimo to wszystko, byłby wyszedł bez szwanku z tych opałów, gdyby nie fakt, że także osobistość, dobrze w opinii rządu zapisana, padła ofiarą jego niegodziwości, i widocznie nie licząc na to, żeby w prezydjum gubernialnem znaleźć mogła satysfakcję, odniosła się ze skargą swoją wprost do kancelarji nadwornej w Wiedniu. Według szablonu biurokratycznego, skarga ta przesłana została prezydjum gubernialnemu, które, tym razem, nie mogło już złożyć sprawy „do aktów“, jak tyle innych skarg szlachty z roku 1846. Za to jednak umiano sprawę tak pokierować, żeby z wielkiej chmury spadł na Vitzthuma tylko mały deszczyk dyscyplinarny. *Ut aliquid fecisse videatur*, wytoczono przeciw Vitzthumowi dochodzenie w sposób taki, żeby szczegóły i samo zakończenie pozostały na zawsze ukryte w tajnikach prezydjalnych. Przypadek jednak zrządził, że akt dochodzenia, zapewne wśród późniejszego rozgardjaszu archiwalnego przy organizacji nowych rządów administracyjnych, dostał się między stosy innych aktów, dla wielu oczu dostrzegalnych i dla wielu rąk dotykalnych. Warto go przekazać historji ściśle w tej formie, w jakiej się dotąd utajony dochował.

(C. d. n.)

Nie masz przebaczenia!

„Spirydjon Janowicz“ — te tylko wyrazy były wydrukowane na niebardzo eleganckim bilecie wizytowym, który woźny doręczył dyrektorowi banku hipotecznego, panu R., siedzącemu w fotelu w swojem biurze. Dyrektor, przeczytawszy to nazwisko, rzucił z niechęcią bilet na biórko i powiedział:

— Tyle razy mówiłem, aby mi nie wpuszczać wszelkiego rodzaju podejrzanych indywiduów. Znowu jakaś żebranina lub naciąganie. Odprawić go.

— Przepraszam pana dyrektora, ale człowiek ten, chociaż istotnie wygląda dość podejrzanie, nie daje się odprawić i powiada, że ma pilny bardzo interes w sprawie osobiście pana dyrektora obchodzącej. Mówi, że musi z samym panem dyrektorem pomówić i to bez zwłoki.

Człowiek, który wszedł chwilę później do biura dyrektora, nie wyglądał bynajmniej w ten sposób, by rozwiały się podejrzenia, z jakiemi go przyjmowano. Ciemne rozwichrzone włosy spadały mu na czoło aż do osady długiego wystającego nosa ozdobionego binoklami w czarnej oprawie. Sznurek obszarpany zwieszający się od tych binokli plątał się we wąsy również nieprzygładzone. Cała postać jego długa, trochę pochylona, odzież nie pochodząca z pierwszego magazynu garderoby męzkiej i wszystkie ruchy jego nóg, rąk i głowy, świadczyły, że pan Spirydjon jest jednym z „zapoznanych geniuszów“ literackich lub artystycznych. Miał ze sobą parasol bufiasto złożony, którem od niechcenia kołysał w powietrzu.

— Co pan sobie życzy?

— Przyszedłem, ażeby....

— Proszę mówić zwięźle. Czas mój ograniczony.

— Bardzo żałuję, ale krótko to nie da się załatwić. Pomimo tego mam nadzieję, że pana dostatecznie zainteresuje to, co powiem, i że pan zechcesz mię wysłuchać z całą uwagą.

Zrzuciwszy z nosa binokle, p. Janowicz pochylił się nad krzesłem stojącem w pobliżu, z całą flegmą zebrał papiery na niem leżące i położył je wraz ze swoim kapeluszem na stoliku, i usiadł, położywszy parasol poziomo na kolanach, wprost naprzeciw dyrektora. Dyrektor powoli zdjął okulary w złotej oprawie, otarł je starannie skóreczką irchową i włożył je napowrót, jakoby w celu przypatrzenia się dokładnego zuchwałemu gościowi.

— To co panu mam powiedzieć — zaczął nowoprzybyły — nie tyczy się pańskiego banku, tylko pańskich spraw domowych. Jak już powiedziałem, nie da się to załatwić w dwóch słowach, ale ażeby o ile możności jak najmniej tracić czasu, powiem panu przedewszystkiem bez kołowania: Pańska małżonka nie jest wcale kobietą, tylko....

— Tylko?....

— Tylko mężczyzną!

Pan R. pomimowoli otworzył usta ze zdumienia i zamilkł na kilka sekund. Potem wyciągnął rękę do srebrnego dzwonka.

— Chcesz pan dzwonić? Uważasz mię pan za warjata? Zamierzasz pan zawezwać policjanta aby mię wyprowadził? Cierpliwości, łaskawy panie, dopóki mnie pan do końca nie wysłuchasz. Na to wszystko czas jeszcze będzie. Na razie przypuszczam, że panu samemu przyjemniej będzie, aby policja się tu nie mieszała. A jeśli pana może niepokoi ten parasol, to postawię go po prostu w kącie: oto tak. Innej bro-

*

ni, nie mam przy sobie; daję też panu słowo, że nie myślę panu skrzywić włoska nawet!

Pomimo niesłychanego wstępu do zwierzeń gościa, dyrektor przestał przypuszczać, że ma do czynienia z obłąkanym i uspokoił się. Będąc zaś z natury usposobienia wesołego, dał się porwać ciekawości, jakie też dalsze niedorzeczności ma jego gość w zapasie. Uzbroił się tedy w cierpliwość.

— Czy pan palisz? — zapytał. — Proszę.

Pan Spirydjon wziął cygaro, odgryzł zębami koniuszek i bez ceremonii wypluł go na kobierzec przed sobą.

— A zatem — pytał się dalej dyrektor —, żona moja wcale nie jest kobietą tylko....

— Mężczyzną.

— Rzecz to dla mnie nader interesująca.

— Zapowiedziałem panu z góry, że zainteresuje pana to, co mam powiedzieć.

— Istotnie nazjupełniejszą to dla mnie jest niespodzianką. Dotychczas bynajmniej nie przypuszczałem....

— Wiem o tem. Robiono z tego przed panem tajemnicę i sam nie byłbym jej panu zdradził, gdyby mnie nie zmuszały pewne okoliczności....

— W jaki sposób jednakowoż pan tę tajemnicę odkryłeś, jeżeli wolno zapytać?

Spirydjon Janowicz założył ręce, patrzył przez chwilę przed siebie w zamyśleniu, a potem zączął opowiadać:

— Było to w Rzymie, w kościele Santa Maria Maggiore. Stałem oparty o jeden z owych starożytnych słupów jońskich, które zdobią tę wspaniałą świątynię i wpatrywałem się z wzrastającem zajęciem w cudownie piękną kobietę, która się właśnie zbliżała do konfesjonału. Kiedy tam uklękła z głową spuszczoną i kiedy klasyczny profil jej twarzy efektownie odbijał się na tle półmrocza, nie mogłem się oprzeć pokusie przystąpienia bliżej. Wtedy mogłem też dostrzedz rysy twarzy spowiednika, młodego mnicha, który początkowo słuchał wyznań pięknej grzesznicy z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy. Ale nagle znikł ten wyraz. Twarz mnicha mieniła się i malowało się na niej najpierw zdumienie, potem przerażenie, a w końcu głębokie oburzenie jakoby z wstrętem pomięszane....

....Potem widocznie zadał parę zapytań penitentce, która odpowiadała z głęboką skruchą. W końcu mnich wstał, wzniósł ramię i wyrzekł stłumionym, ale wyraźnie dosłyszalnym tonem: „Precz! Ludziom się przebacza, ale dla czartów nie masz przebaczenia!“ — Blada kobieta powstała i chwiejnym krokiem skierowała się ku najbliższemu wyjściu. Nim jednak dojść mogła, upadła.

(Dok. nast.)

Z naszych prywatnych galeryj.

ZBIORY

Dra Stanisława Larysz Niedzielskiego

w Śledziejowicach.

(Ciąg dalszy).

Ale wejdźmy do Śledziejowickiego dworu może się czegoś z przeszłości dowiemy, coś z przeszłości zobaczymy. Jest tu archiwum z rękopisami, jest bibljoteka nietylko z nowemi ale i z staremi księgami...



Statua marmurowa z XV. wieku, przedstawiająca św. Antoniego.

Są tu ikunabuły jak Liber beati Augustini z r. 1473, Pomponius Mella z r. 1482, Tractatus aureus z r. 1492. Druki Jana Hallera w Krakowie, jak Dantiscus de virtutibus z r. 1510, Długosza vita beatissimi Stanislai z r. 1511, Mikołaj z Błonia z r. 1519 — są druki Victora Scharffenberga Unglera i Aldusa; Petrarka wydany w Ferrarze w 1550 r., Orlando Furioso Ariosta z illustracjami wydany w Wenecji r,

1566, Kopernika de revolutionibus orbium coelestium z r. 1566 w Basilei — Petrycego Oekonomika Arystotelesa z własnoręczną dedykacją autora Grzegorzowi Nowodworskiemu.

Między autografami znajduje się ustawa gminna Węgrzec z r. 1570 najstarsza w Polsce — listy z XVII. wieku prywatne w liczbie 105.

Z archiwum dowiadujemy się o historji Śledziejowic. W XV. wieku jak świadczy dokument ze Śledziejowic datowany z r. 1435 a podpisany przez Mikołaja Wierzynka należały one Polska 200 lat czekać musiała na złotą monetę za Zygmunta Starego. Dukat ten w drodze zamiany za obraz Matejki dostał się do zbiorów ś. p. hr. Emeryka Czapskiego w Krakowie. — Przechodzimy do zbiorów sztuki.

Nader cenną a śliczną jest gotycka statua z czerwonego marmuru (wysokość 0·94 centm.) przedstawiająca mnicha (może św. Antoniego) na miejscu podobno wykopana, a która śmiem twierdzić, na polskiej ziemi światło dzienne ujrzała prawdopodobnie z końcem XV. w.



Portret kobiety ze szkoły Lombardzkiej (staro-włoskiej) na drzewie.

do jego rodziny, w XVII. wieku do Szembeków, w XVIII. do Jerzego Maxymiliana Ossolińskiego twórcy instytutu tegoż nazwiska we Lwowie, z początkiem XIX. w. przeszły w posiadanie obecnych właścicieli Larysz Niedzielskich.

W Śledziejowicach znajduje się zbiór numizmatów wśród których do niedawna był ów sławny dukat Władysława Łokietka (unikat) najstarszy a jedyny dotąd znany złoty pieniądz polski z pierwszej ćwierci XIV. w., po którym

Między obrazami dawnych szkół odznacza się na drzewie malowany portret kobiety w niezwykle bogatym stroju, z cyzelowanym złotym pucharem w ręku. Bogato rozwinięte renesansowe ozdoby klejnotów — owal twarzy, sposób malowania włosów kazałyby wnosić, że to obraz ze starowłoskiej lombardzkiej szkoły z pod wpływów Leonarda da Vinci. Gotyckie ozdoby w kamiennej framudze tła skłaniają innych do przypisania go staroflamandzkiej szkole. (C. d. n.)

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Otworzył nam drzwi stary, mrukliwy służący. Mieszkanie było obszerne, w urządzeniu znać było rękę kobiecą. Patrząc przez okno na te bagna, usiane kamieniami, zastanawiałem się, co mogło skłonić tak wykształconego mężczyznę i tak piękną kobietę do obrania tutaj siedziby.

— Dziwisz się pan zapewne, że rozpięliśmy tutaj namioty? — rzekł Stapleton, jakby w odpowiedzi na moje myśli. — A jednak dobrze nam i czujemy się szczęśliwi. Prawda, Beryl?

— Zupełnie szczęśliwi — potwierdziła, bez zapału.

— Miałem szkołę w jednem z hrabstw północnych — mówił Stapleton — ale ten rodzaj pracy nie odpowiadał mojemu temperamentowi, chociaż obcowanie z dziećmi, urabianie ich umysłów miało dla mnie dużo uroku. Losy popchnęły mnie jednak na inną drogę. Wybuchła epidemia. Ofiarą jej padło trzech chłopców z mojej szkoły; ucierpiała skutkiem tego na opinii i nie mogła już utrzymać się dalej. Naraziło mnie to na dużą stratę pieniężną; ale żal mi tylko zmarłych dzieci; dla siebie nie żałuję tego, bo mam czas oddawać się moim ulubionym badaniom i znalazłem tu obfite pole do studjów nad botaniką i zoologią. Siostra dzieli moje upodobania przyrodnicze. Mówię to, żeby panu ułatwić rozwiązanie zagadki, nad którą pan zastanawiał się, patrząc na oparzeliska.

— Dziwiłem się istotnie, że państwo obrali tę okolicę, w której pobyt musi być smutny, zwłaszcza dla pani.

— Jest mi tu dobrze — oświadczyła.

— Mamy książki, mamy nasze zajęcia naukowe, zresztą mamy sąsiadów. Doktor Mortimer jest człowiekiem uczonym w swoim zakresie, biedny sir Karol był miłym towarzyszem. Widywaliśmy go często, i jego śmierć była dla nas ciosem. Jak pan uważa, czy bez natręctwa mógłbym złożyć dziś wizytę sir Henrykowi?

— Jestem pewien, że będzie panu rad.

— A więc odwiedzę go po południu. Pragnąłbym, o ile możności, uprzyjemnić mu pobyt w tych stronach, zanim przywyknie do ponurej okolicy. Może pan zechce obejrzeć mój zbiór motyli? Sądzę, że niema obfitszego w całej Anglii południowej.

Nie mogłem przyjąć zaproszenia; pilno mi już było do mego towarzysza. Bałem się o niego, byłem mimowoli pod wrażeniem smutnego krajobrazu, a zapewne i ostrzeżeń miss Stapleton, wypowiedzianych tak poważnie, uroczyście niemal, że musiały osłaniać jakąś tajemnicę. To też, mimo naglących zaprosin na śniadanie, pożegnałem rodzeństwo i wracałem do dworu tą samą ścieżką.

Musiała być jednak inna krótsza droga, bo zanim doszedłem do gościńca, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu ujrzałem miss Stapleton, siedzącą na kamieniu przy drodze.

— Wybiegłam naprzód, aby pana tu spotkać, nie wzięłam nawet kapelusza — mówiła zdyszana. — Chcę pana prosić, abyś zapomniał moje słowa. Nie tyczyły się pana.

— Nie mogę ich zapomnieć, miss Stapleton — odparłem. — Jestem przyjacielem sir Henryka, chodzi mi o jego bezpieczeństwo. Niechże mi pani wytłómaczy, dlaczego radzisz mu pani opuścić te strony i wracać do Londynu?

— To był kaprys kobiecy, doktorze Watson. Gdy mnie pan poznasz, przekonasz się, że nie zawsze umiem wytłómaczyć pobudki moich słów i czynów.

— Nie, nie, pamiętam, jak głos pani drżał, pamiętam, jak pani na mnie patrzała z trwogą. Na miłość Boską, bądź ze mną szczera, miss Stapleton. Od pierwszej chwili, gdym zawitał w te strony, czuję coś złowróżbnego w powietrzu. Stąpamy jakby po owych zielonych kępach na bagnie, lada chwila możemy w nich utonąć, a nikt nie chce nam wskazać, gdzie jest niebezpieczeństwo. Powiedz mi pani, co znaczyły jej słowa, a w zamian obiecuję, że je powtórzę sir Henrykowi.

Na twarzy miss Stapleton odbiło się wahanie, ale trwało krótko.

— Przywiązujesz pan zbyt wielką wagę do moich słów — odrzekła. Oboje z bratem zmartwiliśmy się bardzo śmiercią sir Karola. Odwiedzał nas często, mówił z przejęciem o klątwie, ciążącej nad jego rodem. Nie dziw, że po jego tragicznej śmierci gotowa byłam uwierzyć w słuszność jego obaw, a widząc jego spadkobiercę, przedstawiciela tejże rodziny, uważałam sobie za obowiązek przestrzedz go o możliwem niebezpieczeństwie. To był jedyny cel moich słów.

— Ale na czem owe niebezpieczeństwo polega?

— Słyszałeś pan legendę o psie?

— Nie wierzę w te brednie.

— Ale ja wierzę. Jeżeli pan ma wpływ na sir Henryka, wywieź go pan z tej okolicy. Świat

szeroki. Dlaczego sir Henryk ma koniecznie mieszkać tutaj, gdzie mu grozi niebezpieczeństwo?

— Dlatego właśnie, że grozi. Taki już jego charakter. Jeżeli pani nie może przytoczyć mi ważniejszego powodu, to tym argumentem nie zdołam go skłonić do opuszczenia Baskerville-Hall.

— Nie mogę przytoczyć innego powodu, bo żadnego innego nie znam.

— Jeszcze jedno pytanie, miss Stapleton. Jeżeli w słowach pani nie było ukrytego znaczenia, to dlaczego nie chciałaś, aby je brat usłyszał?

— Mój brat pragnie, żeby dwór był zamieszkany, bo sądzi, że obecność właściciela jest konieczną dla dobra okolicy. Gniewałby się na mnie, gdyby wiedział, że radzę sir Henrykowi opuścić te strony. Spełniłam swój obowiązek i nic już więcej nie dodam. Muszę wracać, bo brat domyśli się, żem rozmawiała z panem. Dowidzenia!

Odeszła, pozostawiając mnie na pastwę obaw i niepokojów o sir Henryka.

VIII.

Pierwsze sprawozdanie doktora Watson.

Od owego punktu będę przepisywał moje własne listy do Sherlocka Holmes, albowiem odtwarzają owe wypadki, myśli i podejrzenia z większą dokładnością, niż moja pamięć.

Baskerville-Hall, 13 października.

Kochany Holmes! Moje poprzednie listy i depesze powiadamiały cię dokładnie i szczegółowo o wszystkiem, co się działo w tym ponurym zakątku.

Im dłużej tu bawię, tem bardziej czuję się smutny i zaniepokojony. Te bagna rzucają cień na duszę. Zdaje mi się, żem się przeniósł nietylko do innego kraju, ale i w inną epokę, że żyję w czasach przedhistorycznych.

Kamienne siedziby naszych przodków zasiewają gęsto oparzelisko, i dziwić się należy, dlaczego oni osiedlali się w tych bagnach? Przypuszczam, że to był szczep tchórzliwy, stroniący od wojowniczych sąsiadów, a trzęsawisko było najpewniejszą przeciw nim warownią.

Te hypotezy nie mają jednak nic wspólnego z mojem posłannictwem i nie zaciekawią twojego praktycznego umysłu. Wiem, jak ci jest obojętnem, czy ziemia obraca się dokoła słońca, czy też dzieje się odwrotnie. Wracam do faktów, tyczących się sir Henryka Baskerville.

Jeżeliś nie otrzymywał sprawozdań przez parę dni ostatnich, to tylko dlatego, że do dziś nie było o czem pisać. Dzisiaj zdarzyła się okoliczność niezwykła, lecz zanim ci ją opowiem, muszę cię obznajmić z innemi stronami sytuacji.

Wspomniałem ci już o zbiegłym więźniu, który się ukrywa wśród bagien. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, opuścił już te strony, co jest pożądanem dla mieszkańców, żyjących na pustkowiu.

Dwa tygodnie już minęło od jego ucieczki, a dotychczas nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał. Łatwo wprawdzie ukryć się na tem trzęsawisku, usianem głazami, które służyły za schronienie przedhistorycznemu człowiekowi, ale nie ma tam żadnego pożywienia; sądzimy zatem, że uciekł, a okoliczni fermerzy zaczynają nabierać otuchy.

W pałacu jest nas czterech silnych mężczyzn; możnaby się obronić w danym razie; ale przyznaję, żem się obawiał o Stapletonów. Mieszkają na zupełnem pustkowiu, o parę mil od ludzkich siedzib, trzymają tylko służącego i kucharkę. Brat jest wątły i niezbyt silny, siostra, jakkolwiek rosła i dobrze zbudowana, nie mogłaby stawić oporu takiemu zbójowi. Gdyby ich napadł, byliby na jego łasce i niełasce. Sir Henryk jest o nich zatrwożony; dawał im na wszelki wypadek *grooma* Perkinsa, ale Stapleton odmówił stanowczo.

Nasz baronet zaczyna interesować się żywo piękną sąsiadką. Nic dziwnego, że wśród życia tak jednostajnego szuka rozrywki, a dziwić się można tem mniej, że panna prześliczna. Jest w niej coś gorącego, podzwrotnikowego; sprzeczność pomiędzy nią a chłodnym, brzydkim bratem, zdumiewająca. Chociaż i on robi wrażenie wulkanu, przysypanego popiołami. Ma widocznie wielki wpływ na siostrę; zauważyłem, że miss Beryl, mówiąc, spogląda wciąż na niego, jak gdyby szukała aprobaty. On ma w oczach groźne błyski, a zacięte usta zdradzają naturę twardą i nieubłaganą. Byłby ciekawem studjum dla ciebie.

Złożył wizytę Baskervillowi nazajutrz po naszym przyjeździe, a zaraz następnego poranku zaprowadził nas na miejsce, wsławione legendą o okrutnym Hugonie. Jest to daleka, kilkomilowa wycieczka przez łąkę i trzęsawiska, a miejsce samo tak ponure, że mogło natchnąć pomysłem do krwawej legendy. Sterczą na niem dwa olbrzymie, spiczaste głazy; sir Henryk był wzruszony i kilkakrotnie zapytywał Stapletona, czy doprawdy wierzy w oddziaływanie sił nadprzyrodzonych na bieg naszego życia.

Pytał wesoło, ale było widać, że bierze tę rzecz poważnie. Stapleton był ostrożny w odpowiedziach, ale można było poznać, że powstrzymuje się od wyrażenia swoich myśli ze względu na spokój baroneta. Opowiedział nam kilka wypadków, w których starożytne rody były prześladowane przez jakąś siłę nieczystą i zostawił nas pod wrażeniem, że przywiązuje wiarę do owej legendy.

Wracając z tej wycieczki, zaprosił nas na śniadanie do Merripit-House i wtedy sir Henryk poznał miss Stapleton. Od pierwszej chwili zrobiła na nim wielkie wrażenie, a jeśli się nie mylę, było zobopólne. Od owego dnia, baronet

bywa tam codzień. Dzisiaj zaprosił na obiad rodzeństwo. Możnaby sądzić, że taki marjaż powinien być mile widzianym przez Stapletona, jednak spostrzegam niezadowolenie na jego twarzy, ilekroć sir Henryk zbliża się do jego siostry, lub okazuje swój zachwyt. Tłómaczę to sobie egoistycznem przywiązaniem, bo życie przyrodnika na tem pustkowiu byłoby jeszcze smutniejsze, gdyby go nie opromieniała miss Beryl. Wątpię, czy Stapleton posunie tak dalece egoizm, aby się sprzeciwić temu świetnemu małżeństwu, choć widocznie nie życzy sobie zażyłości pomiędzy siostrą a baronetem; parę razy przeszkadzał im w rozmowie sam na sam.

Bądź co bądź, trudno mi będzie teraz spełnić twoje polecenie: abym nigdy nie opuszczał sir Henryka. Sprzykrzyłbym mu się prędko, gdybym chodził za nim, jak cień.

Onegdaj, we czwartek, doktor Mortimer był u nas na śniadaniu. Przy wykopaliskach w Long-Dawn udało mu się znaleźć czaszkę przedhistorycznego człowieka. Jest uradowany. Trudno o większego entuzjastę i maniaka.

Po śniadaniu przybyli Stapletonowie. Na prośby sir Henryka, doktor zaprowadził nas wszystkich do Alei Wiązów, aby nam pokazać, jak się rzeczy miały owej nocy.

Aleja jest długa, po obu stronach szerokie żywopłoty, za nimi — trawniki. Na końcu alei wznosi się letni domek, rodzaj altany. W połowie drogi jest furtka, prowadząca na łąkę, za którą leży trzęsawisko. Furtka jest drewniana, biała, ma klamkę i zasuwę. Pamiętałem twoją hypotezę i starałem się odtworzyć w myśli katastrofę.

Stojąc przy tej furtce, biedny sir Karol ujrzał coś, co go tak wystraszyło, że stracił przytomność i zaczął biedz prosto przed siebie, aż mu tchu zbrakło i padł nieżywy z wycieńczenia i trwogi. Uciekał liściastym tunelem. Co go wystraszyło? Pies zwyczajny, pasterski, czy też jakieś stworzenie fantastyczne, widmowe? Była li w tem ręka ludzka, czy też moc nadprzyrodzona? Może blady Barrymore wie o tem zdarzeniu daleko więcej, niż mówi? Jakiekolwiek jest rozwiązanie zagadki, ostatniem jej słowem — zbrodnia.

Poznałem jeszcze jednego sąsiada, pana Frankland z Lafter Hall. Mieszka o cztery mile od nas. Jest to człowiek niemłody, siwy, temperamentu cholerycznego, zawołany pieniacz; pół majątku stracił na procesy. Nie chodzi mu o przedmiot sporny, lecz o sam proces. Czasami zamyka drogę publiczną i zmusza gminę do pozywania go przed sądy. Innym razem wdziera się w drogę prywatną, dowodząc, że służyła dawniej do publicznego użytku. Zna wszystkie prawa obyczajowe, niekiedy używa swych wiadomości na korzyść włościan z Fernworthy, a czasem przeciwko nim; bywa niesiony w tryumfie przez wieś, lub palony *in effigie*, stosownie do swej działalności.

Ma obecnie siedem procesów, które zapewne pochłoną resztę jego fortuny.

Po za tą manją wydaje się dobrodusznym, poczciwym staruszkiem; wspominam o nim dlatego tylko, żeś mi polecił opisywać ci wszystkie osoby, które spotykam i o których słyszę.

Obecnie pan Frankland ma nową rozrywkę; przez wyborny teleskop, dniami całemi z dachu swego domu wypatruje zbiegłego więźnia. Gdybyż tylko na tem poprzestał! ale on chce podobno wytoczyć proces doktorowi Mortimer za otwarcie grobu przedhistorycznego bez pozwolenia potomków, a to skutkiem... czaszki z epoki neolitycznej, odgrzebanej w Long-Dawn. Bądź co bądź, urozmaica nam jednostajność życia i wprowadza do niego trochę komicznego pierwiastku.

A teraz, doniosłszy ci o zbiegłym więźniu, opisawszy ci rodzeństwo Stapleton, doktora Mortimer i pana Frankland z Lafter-Hall, powiem ci coś bardzo ciekawego o Barrymorze i o niezwykłych zdarzeniach zeszłej nocy.

Naprzód słówko o telegramie, któryś wysłał z Londynu, a który miał nam służyć za dowód obecności Barrymora w pałacu.

Donosiłem ci już, że, sądząc ze słów poczt-mistrza, doszedłem do przekonania, iż ta próba niczego nie dowiodła. Mówiłem o tem sir Henrykowi, a on, ze zwykłą sobie szczerością, wezwał Barrymora i zapytał go, czy dostał telegram. Barrymore odpowiedział twierdząco.

— Czy chłopiec oddał ci go do rąk? — pytał sir Henryk.

Berrymore spojrzał ze zdziwieniem.

— Nie — odparł po namyśle — byłem wtedy na strychu, ale moja żona odniosła mi zaraz depeszę.

— Czyś odpowiedział na nią sam?

— Prosiłem żony, żeby mnie wyręczyła.

Po obiedzie wszczął znowu tę sprawę z własnego impulsu.

— Nie rozumiałem, dlaczego mnie jaśnie pan pytał o ów telegram — rzekł. — Czy zrobiłem co niewłaściwego?

Sir Henryk uspokoił go w tym względzie i ofiarował mu część swojej garderoby, ponieważ nadeszły już garnitury, obstalowane w Londynie.

Mrs. Barrymore zaciekawia mnie. Jest to niewiasta gruba, ociężała, poważna, wygląda na purytankę. Trudno sobie wyobrazić osobę mniej wrażliwą, a jednak opowiedziałem ci już, żem słyszał wyraźnie jej płacz pierwszej nocy naszego pobytu w Baskerville-Hall; potem widziałem nieraz ślady łez na jej twarzy. Musi mieć jakąś wielką zgryzotę. Czasem zastanawiam się, czy jej nie trapią wyrzuty sumienia, a chwilami posądzam Barrymora, iż jest tyranem.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku